



**TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY**



# WIZERUNKI KRÓLÓW i KSIĄŻĄT POLSKICH

w zeszytach do kolorowania z tekstem  
ułożonym przez *H. MOŚCICKIEGO*

nabywać można w pierwszorzędnych księgarniach  
i składach materiałów piśmiennych i zabawek

SKŁAD GŁÓWNY

Towarzystwo Wydawnicze „ŚWIT“.

Warszawa, Krak. Przedm. 69. Telefon 194-06.

52. 109. 6.

W ADMINISTRACYI „WIECZORÓW RODZINNYCH“

Są do nabycia DLA MŁODZIEŻY następujące tanie książki:

<i>W. Umiński.</i> „Synowie puszczy“ powieść w trzech tomach ozdobna oprawa . . . . . 1.00 z przesyłką pocztową 1.20	<i>Alicya Morris.</i> „Wakacye w wo- zie“, opowiadanie z rysun- kami w ozdobnej oprawie 40 z przesyłką pocztową 50	<i>Walter-Scott.</i> „Iwanhoe“ po- wieść historyczna z czasów Ryszarda I-go, opracował dla młodzieży H. Rawicz 1.20 z przesyłką pocztową 1.50
<i>M. Leśniewska.</i> „Entuzjastka“, powieść w ozdobnej opr. 80 z przesyłką pocztową 1.00	<i>R. Bringer.</i> „Przygody Gamo- nia“, pow. humorystyczna 1.00 z przesyłką pocztową 1.30	<i>Z. Bukowiecka.</i> „Pamiętniki Bieniowskiego“ . . . . . 80 z przesyłką pocztową 1.00
<i>E. Jezierski.</i> „Ze świata cza- rów“, zbiór podań, baśni i legend, 2 tomy ozdobna oprawa . . . . . 80 z przesyłką pocztową 1.00	<i>A. Grudzińska.</i> „Mnich“, pow. z czasów Ryksy i Kazimie- rza Odnowiciela . . . . . 60 z przesyłką pocztową 80	<i>K. Deslys.</i> „Dziedzictwo Karola Wielkiego“, pow. history- czna z IX wieku, przekład z francuskiego M. K . . . 50 z przesyłką pocztową 70
<i>H. Malot.</i> „Roman Kalbris“, opowiadanie 2 t. w ozdo- bnej oprawie . . . . . 75 z przesyłką pocztową 1.00	<i>H. Rzewuski.</i> „Zamek Krakow- ski“, powieść historyczna z XVI wieku . . . . . 60 z przesyłką pocztową 80	<i>J. I. Kraszewski.</i> „Resurrec- turi“, powieść. . . . . 80 z przesyłką pocztową 1.00
<i>Kapitan Mayne Reid.</i> „Zdzie- racze Czupryn“, powieść w ozdobnej oprawie . . . 80 z przesyłką pocztową 1.00	<i>M. Łopuszańska.</i> „Na waka- cyach“, powieść . . . . . 50 z przesyłką pocztową 70	<i>Teresa Jadwiga.</i> „Hrabina“, powieść . . . . . 50 z przesyłką pocztową 70

ORAZ:

Komplety z dziesięciu dzieł wybitnych autorów dla młodzieży: W. Umińskiego, I. Mrozowickiej, Alfonsa Daudeta, M. Zielińskiej, A. Grudzińskiej i innych rb. 2, z przesyłką pocztową rb. 2 k. 80. Komplety z sześciu dzieł rb. 1 k. 20, z przesyłką pocztową rb. 1 k. 70.

## POCZTÓWKI

KOPIE Z OBRAZÓW W BARWNEM WYKONANIU I NA PAPIERZE  
BROMOSREBRNYM POLECA W WIELKIM WYBORZE HURTOWY SKŁAD

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE

„ŚWIT“

w Warszawie Krak. Przedm. 69.



# WIECZORY RODZINNE

## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

O. CONAN DOYLE.

### ZAGINIONY ŚWIAT

OPOWIEŚĆ O ZDUMIEWAJĄCYCH PRZYGODACH  
PROFESORA JERZEGO CHALLENGERA, LORDA  
JOHNA ROXTONA, PROFESORA SUMMERLEE  
I PANA EDWARDA MALONA, CZŁONKA REDAKCYI  
„GAZETY CODZIENNEJ“.

c. d.

PRZEKŁ. Z ANG. M. G.

Challenger zadarł do góry zaczepną brodę, i przeciwnicy spojrzeli na siebie wyzywająco. A w dali zawarczały bębny:

„Pozabijamy was, jeżeli tylko będziemy mogli!“

Na noc umocowaliśmy łodzie za pomocą ciężkich kamieni na samym środku wody i przygotowaliśmy się na możliwy napad. Lecz nic nie zaszło, o świcie płynęliśmy dalej, pozostawiając za sobą odgłosy bębnienia. Około trzeciej wypłynęliśmy na bardzo silny prąd w tem samym miejscu, gdzie profesora Challengeera spotkała klęska podczas pierwszej podróży. Wyznaję, że mnie ten widok pocieszył, bo był pierwszym świadectwem prawdy opowiadań profesora. Indjanie przenieśli nasze czółna i zapasy przez bardzo gęste w tem miejscu zarośla, a my biali, ze strzelbami na ramieniu, szliśmy między nimi a niebezpieczeństwem grożącym lasem. Przed wieczorem minęliśmy szczęśliwie prądy, i popłynęli dzieśięć mil w górę, przed zarzuceniem na noc kotwicy.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, wyruszyliśmy dalej. Od samego brzasku profesor Challenger zdradzał wielkie zaniepokojenie, rozglądając się po obu brzegach rzeki. Nagle wykrzyknął z zadowolenia, wskazując na odosobnione drzewo, rosnące w miejscu gdzie brzeg załamuje się pod ostrym kątem.

— Co to za drzewo? — zapytał.

— Bez żadnej wątpliwości palma Assai!

— Właśnie palmę Assai zapamiętałem, jako drogowską. Tajemne przejście jest stąd o pół mili, na przeciwległym brzegu, niewidoczne wśród drzew. I w tem cała tajemnica. Tam, gdzie rosną jasno-zielone banany, zamiast ciemno-zielonych

krzaków, są ukryte moje wrota do nieznanego kraju. Pójdźmy, a sami się przekonacie.



Byliśmy zadowoleni znalazłszy twardy grunt pod nogami.



Miejsce było istotnie przecudowne. Dopłynawszy tam gdzie rosły trzciny, przepłynęliśmy przez nie czołnem na przestrzeni jakich stu łokci i wydostaliśmy się na spokojny i płytki strumień, z przezroczystą wodą i dnem piaszczystem. Miał on około dwudziestu łokci szerokości, a na obu brzegach najbujniejszą roślinność.

Nikt, patrząc zdaleka, nie mógłby się domyśleć jego istnienia wśród tych zarośli, ani marzyć o czarodziejskiej krainie, ciągnącej się za nim.

Bo kraina ta była naprawdę czarodziejska. Gęste gałęzie, splatając się, tworzyły naturalne sklepienie, a w tym zielonym tunelu, w złotawem półświecie, płynęła zielona, przejrzysta rzeka, mieniąca się czarująco od światła przedzierającego się przez gałęzie. Przejrzysta jak kryształ, nieruchoma jak tafla szklana, niebieskawa jak skraj lodowca, rozciągała się przed nami pod liściastem sklepieniem, a każde uderzenie wiosła tworzyło na wodzie kręgi, mieniące się rozlicznymi barwami. Godny gościniec do krainy czarów.

Nie było tam już śladu indjan, ale coraz więcej zwierząt, których śmiałość dowodziła, że nie znają jeszcze myśliwych. Zwinne, czarne jak aksamit małpeczki, ze śnieżno białymi zębami i błyszczącemi szyderskiemi oczkami.

Z rozgłośnym pluskiem, rzucał się kajman z brzegu do wody. Raz wyrżał na nas ciemny, ościęwały tapir z przerwy między zaroślami, raz także przesunęło się wężowym ruchem wśród zarośli żółte ciało wielkiej pumy, której zielone, złowrogie oczy, rzuciły nam nienawistne spojrzenie. Ptaków było mnóstwo zwłaszcza brodzących: bocianów, czapli i ibisów, zebranych w małe stadka, błękitne, szkarłatne i białe, obsiadające każdą kłodę sterczącą z rzeki, a w kryształowej wodzie uwijały się ryby, najrozmaitszych kształtów i kolorów.

Przez całe trzy dni płynęliśmy tym cienistym tunelem. Głębokiego spokoju wodnej drogi nie mąciły żadne ślady ludzkie.

— Niema tu indjan. Boją się „Kurupuri“!

— „Kurupuri“ to duch lasów — objaśnił lord Roxton. — Tak nazywają każdego złego ducha. Biedacy lękają się, sądząc, że w tych stronach grasują złe duchy i dlatego unikają tej okolicy.

Trzeciego dnia łatwo już było zrozumieć, że nasza podróż nie długo potrwa, bo woda była coraz płytsza. W ciągu paru godzin trzy razy utknęliśmy na mieliznie. W końcu musieliśmy wepchnąć czołna w zarośla i nocować na lądzie.

Rano poszliśmy, lord Roxton i ja, w głąb lasu, trzymając się brzegu strumienia; lecz sprawdziliśmy, że im dalej, tem woda płytsza, wróciliśmy ze sprawozdaniem. Profesor Challenger przypuszczał, że już dobiliśmy do ostatniego krańca wodnej podróży. Wyciągnęliśmy więc czołna na brzeg i ukryli je w gęstwinie, nacinając siekierami drzewa dla oznaczenia miejsca. Późem rozebraliśmy między siebie ciężary: strzelby, amunicję, żywność, namiot, koce i resztę drobiazgów. Zarzuciwszy pakunki na plecy, wyruszyliśmy na najuciążliwszą część podróży.

Na wstępie wybuchnął zatarg między uczonymi. Challenger od tej chwili obejmował przewodnictwo i wydawał rozkazy ku widocznemu niezadowoleniu profesora Summerlee. Rozdzielając ciężary, Challenger oddał mu do niesienia barometr, aneroid. To wywołało wybuch.

— Czy mogę zapytać, szanowny panie — zaczął Summerlee, ze złowrogim spokojem — na mocy jakiej władzy wydajesz pan rozkazy?

Challengerowi zaiskrzyły się oczy i najeżył się cały.

— Czynię to na tej zasadzie, panie Summerlee, że jestem dowódcą wyprawy.

— A ja jestem zmuszony oznajmić, że nie uznaję pana w tym charakterze.

— Doprawdy?! — skłonił się Challenger, z nieubłaganem szyderstwem. — Więc może pan zechcesz bliżej objaśnić moje właściwe stanowisko?

— I owszem, panie! Jesteś pan człowiekiem, którego prawdomówność ma być zbadana i my przybyliśmy tu w tym celu. Idziesz pan zatem ze swymi sędziami.

— Doprawdy?! — wyrzekł Challenger, siadając na krawędzi czołna. — W takim razie racie panowie iść swoją drogą, a ja pójdę swoją. Jeżeli nie jestem dowódcą, nie możecie żądać ode mnie, bym prowadził wyprawę.

Ale dzięki niebu, znaleźli się dwaj ludzie przy zdrowych zmysłach, lord Roxton i ja, którzy poskromili uniesienia i szaleństwo uczonych i zapobiegli spełnieniu na niczem całej wyprawy. Ale jakich przekonywań, próśb, i wyjaśnień potrzeba było użyć do zmiękczenia przeciwników! Nareszcie Summerlee, ze swemi drwinami i fajeczką ruszył przodem, a za nim potoczył się, sapiąc gniewnie, Challenger. Na szczęście odkryliśmy wtedy, że obaj uczeni mężowie mają wspólny cel nienawiści: doktora Illingwortha z Edynburga. To stało się jedynym naszym ratunkiem, bo od-tąd w chwilach zaost్రzania się. niebezpiecznych



zatargów, wyciągaliśmy na plac szkockiego profesora, na którego rzucali się w najlepszej zgodzie rozjątrzeni przeciwnicy, pastwiąc się nad wspólnym wrogiem.

Szliśmy pojedynczo nad strumieniem, który zwęzał się coraz więcej, aż wreszcie znikł w zielonem trzęsawisku, porośłem gąbczastymi mchami, w które zapadaliśmy się po kolana. W miejscu tem unosiły się całe chmary moskitów i innych tego rodzaju kłusujących owadów, więc uciekliśmy na suchsze miejsca. Ucieszyliśmy się, czując twardy grunt pod sobą i okrążyliśmy lasem jadowite trzęsawiska, na których rozlegało się donośne jak głos organów, brzęczenie. Drugiego dnia podróży, po rozstaniu się z czołnami, zmienił się zupełnie charakter okolicy. Grunt podnosił się ciągle w górę, lasy były coraz rzadsze i straciły już swój podzwrotnikowy wygląd. Olbrzymie drzewa rosnące na wybrzeżach Amazonki, ustąpiły tu miejsca palmom „fenikсовым“ i „kokosowym“, rosnącym grupami z podszyciem gęstych krzewów. W wilgotniejszych zagłębieniach palmy „mauritia“ zwieszały swe wdzięczne listowie.

Kierowaliśmy się według kompasu, ale po dwakroć wynikły różnice zdań między Challengerem a dwoma indjanami, skutkiem tego, że, przytoczę tu dosłowne wyrażenie profesora: „zaufaliśmy zwodniczemu instyktom nierozwiniętych dzikusów, zamiast poddać się najdoskonalszemu okazowi europejskiej kultury“.

Lecz okazało się, że mieliśmy słuszość, kiedy na trzeci dzień sam Challenger przyznał, że poznaje ślady swej poprzedniej podróży, a w jed-

nem miejscu natrafiliśmy na cztery poczerńiałe kamienie, ślady jego obozowiska.

Grunt wciąż się podnosił; przez dwa dni wspinaliśmy się na skaliste zbocze. Roślinność tu znowu była inna i z dawniejszej pozostały tylko drzewa dające roślinną kość słoniową i wielka ilość wspaniałych storczyków, między którymi po-

znałem rzadki okaz „Nuttonia Vexillaria“, świetne różowe kwiaty storczyka „Cattleya“ i szkarłatne „Odontoglossum“. Spotykaliśmy ciągle strumyki ze żwirowatym łóżykiem, z brzegami porośniętymi paprocią, szemrzące w górskich wąwozach, a w nich gromady rybek z czarnymi grzbietami, wielkością i kształtem podobne do naszych pstrągów, które nam dostarczyły wyborowego pożywienia.

Dziwiącego dnia po opuszczeniu czołen, uszedłszy około stu dwudziestu mil angielskich, zaczęliśmy wynurzać się z gęstych lasów: drzewa rosły coraz mniejsze, aż w końcu

ustąpiły miejsca krzakom. Dalej były rozległe bambusowe zarośla, tak gęste, że musieliśmy wyrąbywać sobie drogę. Zajęło nam to cały dzień, od siódmej rano, do ósmej wieczorem, z dwoma tylko po godzinie wypoczynkami. Trudno wyobrazić sobie coś zmuśnieszczego i bardziej jednostajnego, bo nawet na miejscach otwartych widok ograniczał się do dziesięciu—dwunastu zaledwie łokci, a dla mnie zwykle do pleców lorda Roxtona i do żółtych bambusowych ścian po obu stronach. Z góry dochodziła nas zaledwie wąska smuga słonecznego światła, a na piętnaście stóp nad naszymi głowami, kołysały się już wierzchołki trzciny, na tle błękitnego nieba.

d. c. n.



Profesor Challenger.



## Sposoby przenoszenia się z miejsca na miejsce.

c. d.

Wiekopomnego tego wynalazku dokonał włos Marconi przy samym schyłku dziewiętnastego wieku. Nie przynosi już tutaj znaków umówionych drut metalowy, po którym, na podobieństwo rzeki, albo wody w rurze, płynie prąd elektryczny, lecz pewne drgania, jak powiadają uczeni, fale elektryczne, niewidzialne, ani nie dosłyszalne, które rozchodzą się tak, jak światło w powietrzu na wszystkie strony, a przybywszy do specjalnie w tym celu służących przyrządów zapisujących, wywołują w nich znaki. Znaki te zwyczajny przyrząd telegraficzny notuje na wstędze papierowej. Fale elektryczne, jak się przekonano, nie dają się zatrzymać żadną przeszkodą, przebywają zarówno morza jak góry i przepaści, czy to w dzień czy w nocy, czy za pięknej pogody, czy też podczas burzy, z szybkością taką samą zupełnie jak światło, to znaczy, że robią 300 tysięcy wiorst na sekundę.

Z początku porozumiewano się przy pomocy telegrafu bez drutu na nieznaczne odległości, wynoszące zaledwie jakieś parę kilometrów, ale odległość ta szybko wzrastała. Na samym początku bieżącego wieku Marconi zdołał już przesłać wiadomość na dwieście i trzysta kilometrów, a obecnie dokonał wielkiego dzieła, które zadziwiło świat cały: oto połączył za pomocą swojego systemu telegraficznego Amerykę z Europą. Tak więc dwie półkule mogą dziś udzielać sobie wiadomości bez posilkowania się jakimikolwiek przewodnikami metalowymi; samo powietrze bierze na siebie obowiązki przenoszenia znaków.

Nie tylko do Ameryki, ale naokoło świata można telegrafować sposobem Marconiego, to znaczy, że wysłana z Warszawy, dajmy na to wiadomość, obiegnie dookoła cały glob ziemski i powróci do miejsca skąd wyszła, tak, że ten sam człowiek ją otrzyma na tej samej stacyi. Dalej niepodobna już iść, niżeli poszedł Marconi! Nowy sposób wywołał, a raczej wywoła jeszcze większy przewrót w znoszeniu się ludzi pomiędzy sobą, aniżeli telegraf zwyczajny. Pomyślcie tylko! Jeżeli nie potrzeba drutów przeprowadzać, to okręt będący na morzu o wiele setek mil od lądu stałego z łatwością (jeżeli posiada na pokładzie odpowiednie przyrządy), porozumiewać się może z ziemią w każdej chwili dnia i nocy. Burza potrzaskała mu maszty i grozi zatopieniem! Natychmiast na wszystkie strony lecą wezwania o pomoc, i ta nie stąd, to stamtąd przybywa nieza-

wodnie. Zdarzały się już nawet podobne wypadki, że okręty prosiły o pomoc z morza i ta była im udzieloną w stanowczej chwili.

Jadąc na pełnym morzu, podróżni mogą odtąd otrzymywać wiadomości z lądu o swoich interesach, wiedzieć co się dzieje w świecie i nigdy nie być od niego odciętymi. A jak niewiele do tego potrzeba: przyrządu wydającego duże iskry elektryczne. Iskry przeskakujące pomiędzy kulami metalowymi wytwarzają fale elektryczne, które roznoszą umówione znaki na wszystkie strony, nie zaś w jednym wyłącznym kierunku, wzdłuż drutu telegraficznego.

Znaki te przyjmuje „spozstrzega“, że się tak wyrazimy, mała rurka szklana napełniona opiłkami metalowymi i połączona elektrycznie z aparatem telegraficznym, albo inne urządzenie, zwane ogólnie *detektorem*.

Przenoszenie myśli ludzkiej za pomocą umówionych znaków, tryumf to zaiste wielki, ale wobec niego, wygląda już na jakieś czarnoksięstwo z bajki telefon, czyli przyrząd do mówienia na odległość po drucie.

Gdyby zaprowadzono kogoś z przed wieku do pokoju, w którym dziś znajduje się stacya telefoniczna i pokazanoby mu człowieka mówiącego, jak się na pierwszy rzut oka zdawać może, do ściany i otrzymującego od niej odpowiedzi, uciekłby ze strachu.

A przecież nie ma chyba prostszego przyrządu nad telefon! Sztabka stali magnesowanej, na końcu okręcona cienkim drucikiem, pokrytym jedwabiem i oprawiona w drzewo. Naprzeciwko tego druciku znajduje się blaszka żelazna, która pod wpływem głosu ludzkiego, czy wogóle jakichkolwiek dźwięków, zaczyna drgać. Te jej drgania wywołują w druciku prądy elektryczne, które przeniesione po drucie telefonicznym do innego telefonu, odtwarzają w nim dźwięki ze zdumiewającą ścisłością.

I przy pomocy tak prostej maszyny, do tego stopnia prostej, że niewtajemniczony nie potrafiłby się domysleć, do czego ona służy, jesteśmy w stanie rozmawiać ze sobą na setki i tysiące kilometrów. Odtwarzanie dźwięków jest tak dokładnem, że poznajemy po głosie swoich znajomych, chociaż znajdują się oni od nas w odległości setek mil.

U nas w Królestwie Polskiem telefon istnieje

pomiędzy Warszawą a Łodzią, nie mówiąc o liniach mniejszych, ale za granicą telefoniczne linie bywają znacznie dłuższe; kto chce może rozmówić się przez morze z Paryża do Londynu, potem lądem z Berlina do Wiednia, z Moskwy do Petersburga. Z Nowego Jorku w Ameryce do miasta Chicago, odległego od Jorku na 1300 wiorst z okładem. Nie mówimy już o tem, że każde większe miasto posiada swoją sieć telefoniczną do miejscowego użytku. Za niewielką opłatą roczną można mieć w mieszkaniu własnym telefoniczną stację i w każdej chwili rozmawiać ze znajomymi, nie wychodząc ze swojego pokoju.

Bez przesady więc można nazwać telefon jednym z najpiękniejszych wynalazków dziewiętnastego wieku. Przenosi on równie dokładnie nie tylko mowę ludzką ale i muzykę, szmery, hałasy, głosy zwierzęce i t. p.

d. c. n.

W. U.

## Z cyklu „Morze“.

### PRZEPLYWAJ GŁĘBINĘ!

Bezdennych, sinych fali przepływaaj głębinię,  
Z rozważą rękę trzymaj wciąż na łodzi sterze,  
Nie pytaj niespokojnie: „Czy brzegu dopłynę?“  
Lecz głosem mów stanowczym: „Że dopłynę —  
[wierzę!“

Chociaż burza szaleje, rozpętana, wściekła,  
I rzuca pod two stopy rozpienione fale,  
Mów: „Umiem stawić czoło mocom piekła,  
Chociaż walki zacieklej nie pożadam wcale!“

Kto wierzy, że zło zmoże, że ono przeminie,  
Ten, albo pełen mocy do brzegu dopłynie,  
Albo będzie dla innych świetlanym przykładem.

I ci wszyscy, co mają choć skrę życia w łonie,  
Zwalczając będą burz siłę i ryczące tonie,  
Popłyną odważnego, wierzącego śladem!

Władysław Karoli.

JANINA PORAZIŃSKA.

## Galerya Drezdeńska.

d. c.

Vecelli Tiziano urodzony w 1477 roku, dożył późnej starości, zachowując do końca życia świeżość umysłu, sprawność ręki.

Jako 99-cio letni starzec rozpoczyna jeszcze nową pracę „Złożenie Chrystusa do grobu“, ale śmierć już mu nie pozwala jej dokończyć (1576 r.)

Tycyan był kierownikiem szkoły weneckiej i posiadał w najwyższym stopniu to, co było cechą tej szkoły: mistrzowski koloryt, wspaniałe oddanie barw i kojarzenie ich.

Skala jego twórczości była bardzo rozległą: odtworzał sceny religijne i mitologiczne, pięknie oddawał akty, z wielką cechą indywidualności portrety; on też pierwszy, wśród malarzy włoskich, malował z powodzeniem krajobrazy.

Tycyan wyszkolił wielu uczniów, rozwinął talent wielu artystów, pozostających pod jego kierunkiem.

Wśród nich pierwsze miejsce zajmuje Paweł Veronese, którego kilka płócien ogromnej wielkości posiada Galerya Drezdeńska.

Veronese umie swe liczne, w naturalnej wielkości oddane postacie ludzkie ustawiać w malowniczych grupach, nadawać im życie, a że posiada dokładny rysunek i piękny koloryt, obrazy więc jego mają artystyczną wartość.

Przeważnie są one przeładowane obfitością drapeży, sceny rozgrywają się na tle budynków o bogatych i licznych ozdobach..

Veronese jest wiernym przedstawicielem swej epoki i swego środowiska.

Niezależnie od tematu tak w „Pokłonie trzech Króli“ jak w „Godach w Kanie galilejskiej“ i w innych, wszędzie oddaje Wenecję, z właściwym jej w owym czasie budownictwem, modą ubierania się, meblami, naczyniami i t. d.

.....

W epoce Odrodzenia na czele kultury europejskiej stoją włosi, w ich też rękach do najwyższego rozkwitu dochodzi malarstwo.

Zapoczątkowane tam w wieku XIII-ym przez Giotto rozwija się stopniowo, aby w wieku XV i XVI zabłysnąć tak świetnymi imionami jak: Botticelli, Raphael, Michał Anioł, Leonardo da Vinci, Tycyan i inni...

Potem, jak gleba wyczerpana wydaniem świetnego plonu, geniusz włoski jałowuje.



Wiek XVII i późniejsze czasy przynoszą tylko mniej lub więcej udatnych naśladowców i kopistów pełnych sztuczności i przesady.

Ale te dwa stulecia wystarczyły, aby okryć sztukę włoską nieśmiertelną chwałą.

Wiele okoliczności złożyło się na to, aby w XV i XVI wieku wytworzyć we Włoszech atmosferę, w której wrodzony już malarzski talent mieszkańców tej ziemi, mógł tak świetnie się rozwinąć.

W państwie był spokój, a jeśli zaszła potrzeba użycia oręża, czyniły to wojska najemne.

Nie zużywając sił na wojny, naród mógł je zwrócić na cele kulturalne.

Mieszczanstwo zajmowało się wówczas przemysłem, przysparzając krajowi wielkich bogactw; klasy uprzywilejowane oddawały się literaturze, sztukom pięknym, lub zabawom.

Bogate domy wielkich książąt jak Medyceuszów, Borgiów, Sforzów, dwór papieski otaczali artyści opieką i protekcją.

Wszystko to, przy dużych wrodzonych zdolnościach włosków do rysunku, przy wyobraźni plastycznej, podsuwającej im zaraz przed oczy obraz tego o czym myśleli, wydało tak świetne rezultaty.

Malarstwo włoskie, nawet w swej najświetniejszej epoce, nie przestaje być jednostronnem o małej różnorodności tematów.

Pejzażem sztuka włoska pogardza. Nigdy przyroda nie podzielała na wyobraźnię włoską tak silnie, aby zechciał przenieść ją na płótno; jeśli czasami wprowadza krajobraz, to traktuje go jedynie jako tło dekoracyjne, nie troszczy się ani o perspektywę, ani o wierne oddanie natury.

I rzeczywiście, jakżeż może oddać ją należyście, skoro pola, drzewa, rzeki, góry maluje w czterech ścianach pracowni, stwarzając obraz z pamięci, nie biorąc go z żywego wzoru?

Nie maluje też włoski nigdy zwierząt, wne-

trza domów, nie oddaje życia obyczajowego, zabaw ani uroczystości.

Sztuka włoska uznaje tylko człowieka za przedmiot godny sztuki i w malowaniu ciała ludzkiego dochodzi do mistrzostwa.

Włoch ma wrodzone poczucie piękna, ceni je wyżej niż prawdę; dla tego też i ludzie, których przedstawia, są zawsze piękni, silni, zdrowi, bogato ubrani; jakby nie było na świecie ubóstwa, brzydoty, kalectw i nie-dołęztwa.

Sztuka włoska to nie odbicie życia, to piękny, malowniczy świat wysnuty z wyobraźni.

Z małymi wyjątkami malowania portretów i scen mitologicznych, artyści włoscy odtwarzają najchętniej sceny ze Starego a zwłaszcza Nowego Testamentu.

Madonna, dzieciństwo i męka Chrystusa powtarzają się u nich bez końca.

Wśród nielicznych wyjątków uwagę naszą zwraca Cararaggio.

Ten czerpie tematy z życia obyczajowego.

Jest w Dreźnie jego doskonały obraz, scena wzięta z życia: „Oszust



Metsu.

Handlarz zwierzyny.

karciany“.

Przy stole siedzi trzech chłopców. Dwóch z nich gra w karty, trzeci zagląda w karty jednego, pokazując drugiemu ręką znaki. Pyszną jest pełna skupienia i troski twarz oszukiwanego chłopca, doskonała bystrość spojrzenia zaglądnącego mu przez ramię oszusta.

Cararaggio bardzo różni się od swych kolegów artystów, ale też i talent jego rozwijał się zupełnie odmiennie.

Nie uznawał on żadnych szkół i żadnych systemów nauki, nie praktykował u żadnego mistrza.

Awanturnicze życie spędzał w winiarniach i karczmach, gdzie z otoczenia brał wzory do swych obrazów. Umiał podchwytować ostre, brutalne momenty życia i przenosić je na płótno.

Trzeba było jednak na to tak wielkiego talentu, jaki miał Cararaggio, aby nie mając żadne-



go kierunku, idąc jedynie o własnych siłach dojść do wyżyn artyzmu.

Ziemia włoska o rozkosznym, ciepłym klimacie bez wielkiego wysiłku człowieka daje mu bogate plony; dlatego też włosz jest rozleniwionym sybarytą, kochającym i sławiącym rozkosze życia.

Takie też piętno mają w przeważnej ilości ich obrazy.

Nawet pokutujące Magdaleny, nawet męczennicy ginący pod setkami strzał, tkwiącemi w ich ciele, są weseli i uśmiechnięci.

W zupełnie odmiennych warunkach rozwija się malarstwo na północy Europy.

Tu stwarzają je holendrzy i flamandzi.

Aby zrozumieć charakter ich sztuki, trzeba się nieco bliżej przyjrzeć tym ludziom i ich ziemi.

Holandya to dolina rozmiękła, pełna wód. Przeplływają ją trzy wielkie rzeki (Ren, Mozela, Skalda) szeroko rozlane po płaskiej przestrzeni, toczące leniwe fale ku morzu.

Prócz rzek i ich dopływów mnóstwo tu stawów, jezior, bagnisk.

Gdziekolwiek zaczniesz tu kopać ziemię, natichmiastr wydobywa się na wierzch woda.

Od północy morze srebrno-sine, zabiegające daleko podczas przypływów w głąb kraju, po płaskich brzegach. Nad tem wszystkim bezustanna mgła i deszcz.

Gdy się tu zjawiały pierwsze germańskie plemiona (za Cezara), ziemia ta była porośła lasem tak gęstym i jednociągłym, że można było podróżować po całym kraju w różnych kierunkach, na sposób wiewiórek, przechodząc z drzewa na drzewo, bez dotykania stopą ziemi.

Jeszcze w kilka wieków po zamieszkaniu tu ludzi, Holandya nosiła nazwę „krajny lasu bez końca i bez miłosierdzia”.

Teraz od kilkuset już lat jest to jeden z naj-

bardziej bogatych i przemysłowych krajów Europy, pełen łąk i sadów, stad bydła i fabryk.

Aby jednak z tej krainy rozmięklej, zalesionej, dyszącej wyziewami bagnisk, uczynić piękną, urodzajną ziemię, trzeba było ludzi tak pracowitych, o tak nieugiętej woli i cierpliwem dążeniu do celu, jakimi byli osiedli tu germanowie.

Zaczęli niezmordowanie a zwycięsko ujarzmiać wrogi żywioł, bądź usuwając go, bądź zużywając jego siły dla własnego dobra. Rzeki ujęli w tamy, osuszyli błota, pokopali kanały dla odpływu wód. Morzu wydarli kawał ziemi, budując tamy, nie pozwalające wdzierać się wodzie podczas przypływu w głąb lądu.

Koszta i trudy były przytem niesłychane. Miarę ich może dać nam przykład, że dla zabezpieczenia brzegu morza przy Harlem, wymurowano tamę z norweskiego granitu, długą na 8 kilometrów, szeroką na 40 stóp a pogrążoną w głębi ziemi na 200 stóp.

Dzięki tym zabezpieczeniom liczba ofiar zaczęła się zmniejszać, a początkowo wylewy rzek czyniły tu między ludźmi straszne spustoszenia.

W roku 1230 utonęło 100,000 osób

„ 1287 „ 80,000 „

Dla wyzyskania na swą korzyść przyrodzonych sił kraju, holender zaczął budować młyny przy rzekach a wiatraki na miejscach nieco wyższych; zmusił wodę do obracania kół swych fabryk, do noszenia statków, wiatr do popychania żagli.

Bezlitosna kraina moczarów i lasów zamieniła się w kraj kwitnący bogactwem i bujnością życia. Tyłowiewka wytężona pra-

ca wpłynęła na ukształtowanie charakteru tutejszych mieszkańców; wyrobiła w nich cierpliwość, wolę żelazną, siłę charakteru, umiejętność robienia bez znużenia rzeczy nudnych, przeprowadzania raz zamierzonej myśli do końca, choćby okoliczności zmuszały do zaczynania wciąż trudu na nowo.

D. c. n.



Rubens.

Polowanie na lwy.



## Gościnność dawnych polaków.

Gościnność cechowała polaków od najdawniejszych czasów; lubili oni gości, szanowali też każdego przybysza, który ich próg przestąpił, choćby to był człowiek zupełnie obcy, cudzoziemiec, a nawet nieprzyjaciół.

Czy to u bogatych panów, czy u kmiotków ubogich leżał zawsze na stole chleb, a przy nim stała sól, bo chlebem i solą najpierw przyjmowano przybyłych. W późniejszych czasach nie zachowywano tego zwyczaju, nie trzymano na stole chleba i soli, jednak, gdy gość przybywał o jakiegokolwiek porze, zaraz skrzętna gospodyni starała się, aby coś podać, czemś przybyłego przyjąć, czy to suciej, czy skromniej, na co kogo było stać, to też mówiono: „Czem chata bogata, tem rada” i do jedzenia szczerze zapraszano, zachęcano, namawiano, niemal zmuszano; tak samo było i z piciem: nalewano, dolewano, nie ustępowano, chociaż się gość wymawiał. Gdy przybyły nocował, gospodarz ustępował mu nie raz własnego łóża, myślał o jego wygodzie i potrzebach.

Po zamożniejszych dworach szlacheckich był zwyczaj, iż przy stole jadalnym zostawiano kilka wolnych miejsc dla panów „zagórskich”, jak mówiono t. j. dla niespodziewanych gości i często miejsca te były zajmowane.

Stare przysłowie mówi: „Gość w dom, Bóg w dom”, wykazując głębokie poczucie gościnności.

A gdy kogoś do siebie zapraszano, gdy przybyli mili i drodzy sercu goście, to już gospodarstwo byli w swoim żywiole; wesołe oblicza, promienne uśmiechy, serdeczne słowa, wszystko wskazywało szczerą radość.

Na różne uroczystości i biesiady zapraszano nie tylko rodzinę, przyjaciół i znajomych, ale nawet obcych.

Wielkie stoły zastawiano ogromnymi misami u bogatych srebrnymi, u uboższych cynowymi, talerze były także srebrne lub cynowe.

W XVI w. zaczęto używać talerzy fajansowych, farfururowymi wówczas zwanych, nieco później weszła w użycie porcelana. Cała zastawa stołu w zamożniejszych domach składała się z porcelany, nawet karafki, solniczki i trzonki u noży i widelców były porcelanowe, a że były modne, przeto droższe od srebra. Ponieważ były to przedmioty łatwo mogące się stłuc, przeto rzadko i tylko przy wielkich uroczystościach używane

były. Porcelana w owych czasach tak weszła w modę, iż robiono z niej różne figury, zegary, ramy do obrazów, poręcze u krzeseł i kanap i to artystycznie wykonane i ozdobione czasem pięknym malowidłem, czasem złoczone bogato, co stanowiło wielki zbytek i mówiło o bogactwie domu.

Łyżki, stosownie do zamożności domu, podawano srebrne lub cynowe, czasem też blaszane; noże i widelce pięknie obłożone, kładziono tylko dla wybitniejszych gości, na pierwszych miejscach przy stole; na tak zwanym „szarym końcu” zwykle skromne było nakrycie: noży i widelców nie kładziono tam wcale, to też był dawniej zwyczaj, iż każdy mężczyzna nosił przy sobie nóż, niekiedy z widelcem, a jeśli nie miał swojego, to pożyczał sobie od sąsiada, co wszakże nie uważane było za prostackie i niewłaściwe.

Niektórzy nosili przy sobie łyżki, które uważane były za ważny sprzęt stołowy.

Dawne łyżki polskie inne były niż dzisiejsze, nadewszystko zaś różniły się kształtem: miały szerokie a krótkie czerpaki, niekiedy podobne do muszli, i proste trzonki.

Łyżki takie bywały srebrne, często wyłazcane, cynowe lub blaszane, a na trzonkach ich znajdowały się różne napisy, najczęściej nie mające nic wspólnego z łyżką, a położone chyba dlatego, aby ludziom o czemś przypominać, aby przy każdej sposobności dać jakąś moralną naukę, jak dzieciom we wzorach kaligraficznych np.:

„Poznać po mowie, komu płocho w głowie.  
Szczerość będzie wdzięczna wszędzie.  
Wszystko przemienie, cnota nie zginie.  
Wesele wieczne, serce bezpieczne.  
Złego zwyczaju strzeż się i w gaju” i t. p.

Zdarzały się jednak i napisy odnoszące się do łyżek i do jedzenia np.:

„Miła wieść, gdy wołają jeść.  
Napój pragnącego, nakarm łaknącego.  
U stołu twego pomnij na ubogiego.  
Bez łyżki zła strawa, choć dobra potrawa.  
O łyżkę nie prosi, kto ją z sobą nosi” i t. d.

Widać, że czasami łyżki ginęły, skoro i takie bywały na nich napisy:

„Wolno mną jeść, ukraść nie,  
Na to mię tu dano, aby mnie nie brano.  
Kto mnie skryje, tego mój pan bije” i t. p.



Gdy szlachcic jechał na sejmik lub do obozu, brał ze sobą łyżkę i nóż, wcale się nie troszcząc o widelec, bo ten uważany był za sprzęt zbyteczny, a nawet przez długi czas utrzymywano, iż widelec tylko ludziom zniewieściałym był potrzebny. Oprócz napisów umieszczano też na łyżkach herby właścicieli i cyfry, a także niekiedy popiersia różnych sławnych ludzi np.: Kościuszki, Poniatowskiego i innych.

Wogóle takie dawne łyżki są dziś rzadkością, można je widzieć jedynie w muzeach lub w zbiorach archeologicznych. Z piciem inaczej też niż dziś bywało przed laty; wszyscy pili kolejno z jednego pucharu lub szklanki i to nie tylko mężczyźni, ale i kobiety nie pogardzające trunekiem. Gdy wprowadzono w użycie szklane kieliszki, wówczas kto wypił, a chciał nalać drugiemu, wycierał kieliszek serwetą, lub też służba przepłukiwała kieliszki wodą w osobnym naczyniu na ten cel przygotowaną.

Małe kieliszki do wina stawiano przy każdym nakryciu, tylko na „szarym końcu” stołu nie było ich wcale. Piwo stawiano początkowo gdzieś na boku w beczkach, później nalewano i obnoszono na tacach i tak z każdym dziesiątkiem lat zwiększała się wytworność w nakryciu stołu i podaniu, zaczęto na całym stole kłaść łyżki, noże, widelce, serwety; stawiano nawet wykałaczki do zębów, ale też coraz rzadziej siadali do stołu ludzie obcy, nieznani, a z czasem doszło do tego, że wcale dopuszczani nie byli.

A jednak przez długi czas był zwyczaj wpływający z wielkiej powszechnej gościnności, że np. w Warszawie przybywał niespodziewanie ktoś zupełnie obcy, zasiadał na „szarym końcu” stołu, a pożywiwszy się i podziękowawszy gospodarzowi za „chleb i sól” jak mówiono, składał ukłon i odchodził. Mniej obcy i źle wychowani ludzie

wychodzili nieraz bez podziękowania nawet, jakby z jakiej jadłodajni.

Zmieniły się czasy, zmieniły się też zwyczaje i pojęcia, a dzisiejszy sposób życia i trudniejsze warunki bytu uniemożliwiły przyjmowanie tak różnorodnych gości, a gościnność przybrała inną formę: dziś najgościnniejszy gospodarz szczerze i serdecznie rad gościom, nie nadużywa jednak zewnętrznych oznak gościnności, nie każe zdejmować kół z pojazdów, bo czuje i rozumie, że zatrzymując gościa całą siłą, zabrałby mu czas, mający pewnie jakieś przeznaczenie; nie leje za kołnierz, gdy kto nie chce pić i nie zmusza gwałtem do jedzenia, bo mógłby zaszkodzić zdrowiu; słowem, znikła dawna natarczywość, i bardzo tak dobrze.

Nie należy bowiem krępować gościa, a dać mu nie tylko smaczny posiłek i wygodne posłanie ale i... swobodę.

W gościnności, jak utrzymują, nikt nie dorównał słowianom, tak w czasach chrześcijańskich, jak i w pogańskich. Z pomiędzy ludów starożytnych żydzi, o ile wiemy, odznaczali się wielką gościnnością: wychodzili na spotkanie przybywającego wędrowca, obmywali mu nogi, stawiali obfity posiłek, dając też pożywienie służbie i zwierzętom gościa.

Przyjęcie podróżnych przez naszego gościnnego Piasta odbywało się w podobny sposób, jak przyjęcie aniołów przez pobożnego Abrahama, o czym piszą dawne dzieje.

Inne narody starożytne nie odznaczały się tak wielką gościnnością, zwłaszcza poza domem, nawet gościnność greków i rzymian, o której wspominają dziejopisowie, bardzo ciasne miała granice.

*Helena Bojarska.*

## Z TRIPOLITANII.

WRAŻENIA PODRÓŻNIKA.

d. c.

Odpowiedziałem mu na to, że informacje konsulów aczkolwiek są dokładne, to jednak nie zaszkodzi je sprawdzić. Europa bowiem chce jaknajwięcej wiedzieć o stosunkach arabskich. Zresztą każdy konsul musi niektóre rzeczy przemilczeć, co jest zrozumiałe, gdyż osoby oficjalne nie mogą wszystkiego mówić.

Uśmiechnął się mój rozmówca i zakonkludował:

— Gdzież jest ta wolność, o której tak szeroko rozprawiają w Europie?

Od czasu, jak fotografowałem szejków, wszyscy arabi zaciekawili się i roznamiętnili do fotografii. Szereg za szeregiem przychodził pozować. Musiałem zadowolnić wszystkich, a przynajmniej robiłem minę, że zdejmuję ich po kolei. Po każdym takim pozowaniu podchodził do mnie to



ten to ów i pytał, czy aby napewno jest w skrzyneczce.

Według ich mniemania byłem bowiem inspektorem sułtańskim, który miał specjalne polecenie dostarczać mu podobizn najczęściej odważnych i walecznych żołnierzy. I dla tego to też pchali się przed mój aparat.

Senussiści wywołują we Francji wielkie zainteresowanie. Nie wiem dlaczego porównują ich do mnichów, którzy w średnie wieki urządzali wojny krzyżowe. Z tego, co widziałem i zauważyłem jestem zdania, że nie zajmują się oni obecnie żadnymi wojnami świętymi. Nie o nawracaniu marzą ich przywódcy. Jedyny ich cel, to walka z włochami.

### CZERWONY KRZYŻ W EGIPCIE.

Po przez cały czas mojego pobytu w Benghazi, mieszkalem, stołowałem się u lekarzy Czerwonego Krzyża, którzy byli przysłani z Egiptu. Czerwony Krzyż egipski znajduje się pod patronatem matki khedywa; do Benghazi przybyli lekarze wraz ze szpitalem 2 lutego. Szli oni przez pustynię dni pięćdziesiąt.

W lutym i marcu przez ich ręce przeszło

200 rannych, z których 40 operowano. Arabi nie są alkoholikami, usypiają więc pod chloroformem bardzo prędko. W większości wypadków wystarcza dla nich 30-to gramowa doza. Niektórzy jednak nie chcą się dać chloroformować, uważają to bowiem za dyshonor. Odważny żołnierz, według nich, powinien przenosić cierpienia bez wszelkich roztkliwień się nad sobą. Przenoszą też oni z wielkim stoicyzmem i cierpliwością operacje. Przyspiewują sobie monotonne arabskie piosenki i zapominają zupełnie o bólu. Jeden z arabów, który miał pół twarzy poszarpane przez wybuch szrapnela, pomimo tej strasznej rany, wystroił się zaraz po opatrunku i prosił lekarza, by mu pozwolił wrócić do swojego szczerpu odwiedzić żony.

Rany zadane przez włoskie kule drobnego kalibru są naogół mało niebezpieczne. Widziałem arabów przestrzelonych kilkakrotnie, którzy już w osiem dni byli wyleczeni. Składali oni ten szybki powrót do zdrowia na karb opieki boskiej, wszystko wiedzącej i sprawiedliwie rozdającej nagrody i kary. Nie mógł więc umrzeć arab od kuli nieprzyjacielskiej, bo walczył o prawą rzecz!

d. c. n.

## Prastary Piastów gród. O SANDOMIERZU

podług X. Rokosznego, skreślił A. Jachondowicz.

d. c.

Wzgórze na którym stoimy usypał pono lud na pamiątkę męczeństwa 49-ciu dominikanów od św. Jakuba. Cisną się na myśl słowa Syrokomli:

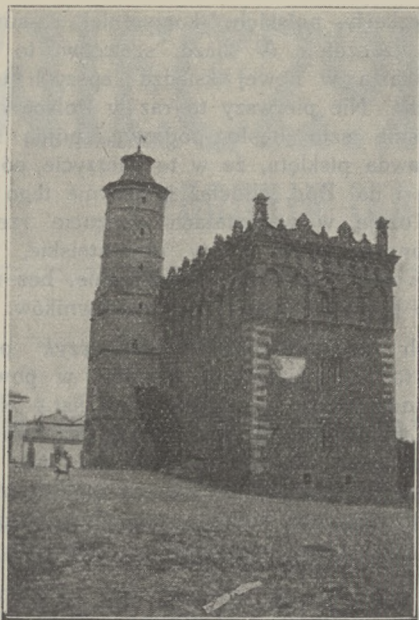
Zasiedli w chóru ciemnem sklepienia,  
Wszystkie się oczy wzniosły do nieba  
I wszystkie usta zabrzmiały razem:  
Czterdzieści dziewięć głosów kapłańskich,  
Jakgdyby jednej piersi westchnienie.  
Zmilkła na chwilę cała gromada,  
I wedle ustaw najmłodszy z grona  
Czyta tych świętych pańskich imiona,  
Których pamiątka dzisiaj przypada,  
Miał już dokończyć — cóż to? błąd oka?  
Zdjęła go trwoga — przytomność traci;  
Widzi w swych ręku cud oczywisty.  
W księdze, gdzie czyta, napis ognisty:  
„Dziś w Sandomierzu męka Sadoka,  
„A z nim czterdziestu dziewięciu braci“.  
Przeczytał słowa. — „Cóż to on gada?“  
Woła z podziwem cała gromada.  
I znowu w chórze modły zabrzmiały,  
Jeszcze gorętsze i szczerze jeszcze.  
Sadok ze swymi w środku kościoła  
Kłęką na ziemi, do Maryi woła:

„Zawitaj Królowo, o Matko i Pani!  
Zawitaj, o nasza nadziejo!“  
Wtem z trzaskiem wrota kościelne pękły,  
Tatar, co wyszedł zwycięzcą z bitwy,  
Wyróżnawszy w zamku naród przelękły,  
Wpadł z dzikim wrzaskiem na dom modlitwy.  
Jedni już łupią ołtarze Boże,  
Drugich zbójceka wściekłość rozżarza  
I otłuszczone krwią polską noże  
Wpychają w piersi sługom ołtarza,  
Święci pod noże idą ochoczo  
I kończą z pieśnią Maryi Panny:  
Salve Regina!

Rok 1260! Łunami palonych wsi i miast,  
echami w niebo bijących krzyków zapowiadają  
o dziesiątki mil swoje przyjście tatarzy. Po za  
nimi, jak po przejściu szarańczy, pozostaje tylko  
popiół, błakające się po pogorzelisku postacie  
i wydeptane, lub ogniem strawione zbożowe łąny.  
Strach! Już dziady — lirnicy przynosili trwożne  
wieści o barbarzyńcach, a potem znowu cicho —  
zdawało się, że stroną przeszli.

Dzień był jasny, słoneczny. Spokojni miesz-





Sandomierz — Ratusz.

kańcy przy pracy byli, gdy nagle ulicami miasta biegnący pasterze poczęli wołać:

— Tatarzy, Tatarzy!

Kto mógł, zgarnawszy rzecz cenniejszą, biegł do zamku, by schronić się poza jego warownymi murami. Matki niosły małe dzieci na rękę, starsze, wylękłe, podążały płacząc i trzymając się sukni matczynej. Starzy i młodzi biegli na wyścigi — każdy o sobie myślał — swoje tylko życie radby ocalić. Jeden tylko stuletni Grześ siadł na progu i mówi pacierze, spokojny, zdany całkiem na wolę Bożą. A przed zamkiem ścisk: „nie mogą się ludzie zmieścić we wrota, gdyż most wąski, a jedni podusili się sami, drudzy pospadali z mostu w rów jako te snopy.“ Już czerń tatarska z wyciem i przeraźliwym świstem piszczalek podeszła i ze wszech stron oblała zamek. Podstępem wywabili dowódcę zamku, Piotra Krempę, zamordowali go i jak niszcząca lawa wpadli do zamku. Bruki podwórców spłynęły krwią, ściany posoką na kilka pięter się splamiły, schody oślizgły, fosa \*) trupami napełniona została. „Zakonnicy i księża świeccy odprawili msze, zaczęli komunikować się i spowiadać, potem zaś wyszli z zamku ze świecami i kadzielnicami, poszli też magnaci i ich żony, przed nimi zaś słudzy magnaccy nieśli-dzieci ich i był wielki płacz i lament. Wypędzonych z zamku posadzili Tatarzy na błoni nad Wisłą i siedzieli tam oni dwa dni.

\*) fosa — rów.



Sandomierz — Dom Długosza.

Potem zaczęto ich wszystkich zabijać, płeć męską i żeńską zarówno i nie pozostał z nich ani jeden.“

Odplynęła nawała tatarska, zostawiwszy po sobie trupów stopy i dymiące się zgłiszczyska. I przyszli ludzie z daleka i zbliska. Sieroty ojców i matek szukają. Posiwałe matki drżącymi rękoma rozgarniają wały z ciał pozabijanych i lejąc łzy przyglądają się posiniałym twarzom trupów. Słudzy i rycerze kładą umarłych na nosze i niosą do kościoła panny Maryi, by tam w grobach wspólnych pochować jedną śmiercią zeszyłych ze świata. Smutnie, rozpaczliwie smutnie brzmią tony śpiewanego przez duchowieństwo requiem na polach, usianych pokrwawionym trupem. A na to wszystko patrzy z wysoka słońce i świeci „zarówno na dobre i złe“.

Lud, wzgórze na którym stoi katedra, ubrał w tęczową aureolę legendy.

Za lat dawnych, mówi ona, chciał król Zygmunt stawiać kościół wielki w Krakowie, chciał mieć w nim relikwie święte z Rzymu. Śle więc do papieża posły z wielkimi dary. Na stolicy apostolskiej siedzący wówczas Pius V odmówił relikwii, ale rzekł, by z miasta, co się Sandomierz zowie, przynieśli kosz ziemi cmentarnej, a po powrocie:

Wedle rozkazu gdy się zbliżyli  
Przed złoty ojca świętego tron,  
Papież przemówił: „Słuchajcie mili  
Posłowie owych dalekich stron!  
A co wam powiem, królowi nieście:  
Mnogie relikwie ma w kraju swym!  
Jest w Sandomierzu, w tem starym mieście,  
Cmentarz — relikwią ziemia jest w nim!“  
Podjął garść ziemi. Ziemia ściśnięta  
Dłonią papieża, pociekła krwią.  
„Patrzcie! męczeńska krew to jest święta!  
Waszą relikwią nazwijcie ją!“ \*\*)





Mam dla mojej gromadki kochanej dobrą wiadomość, muszą tylko piskłęta powiedzieć staremu ptakowi szczerze, czy zastanowiły się kiedy poważnie nad doniosłością rzemiosł w ustroju każdego społeczeństwa? Wielu z was nie, przynajmniej? A jednak broń rzemieślnika, narzędzie, to szlachetna broń. Heblem, młotem, dłutem zdobywają ludzie wszystkie bogactwa cywilizacji, narzędzie odróżnia nas nawet przedewszystkiem od zwierząt. Wasza przyjaciółka Jaskółka np. chlubi się tem, że kiedy jej skrzydlate imienniczki dziobem tylko i łapkami budują gniazda, ona użyła mnóstwo sprzętów, i z ich pomocą ozdobiła swoją nową siedzibę, jest więc więcej rozwinięciem, mądrzejszym stworzeniem od siostr z ptasiego rodu.

Polska szczyciła się słusznie licznymi cechami rzemieślniczymi. Cechy nie tylko słynęły z wyrobów swego kunsztu, ale były jednocześnie milicją miast i broniły ich dzielnie od napadów wroga. Umieli płatnerze polscy kuć przepiękną broń, a w potrzebie umieli użyć jej na nieprzyjaciela. Dochowały się dotąd w Krakowie baszty, liczono ich czterdzieści, każda zaś baszta była jakoby małą fortecą oddaną pod straż jednego z cechów, stąd zwano baszty kołtarską, krawiecką, kuśnierską, szewcką, że wszystkich wymieniać nie będę. Kto nie żałuje krwi na obronę rodzinnego miasta, ten miasto to kocha i ma poczucie dostojeństwa obywatelskiego, mieli je też rzemieślnicy polscy, kochali ojczyznę i gród, na którego straży stawali często. Od owych czasów jednak zmieniło się wszystko na gorsze, czyż potrzebuję, piskłęta, tłómaczyć wam dlaczego? Wy to czujecie, wy bolejecie razem ze mną nad upadkiem narodu.

Ale żal, nawet najśluszniejszy, nie naprawi zła. Naprawić tylko może dzielność ducha i praca. Upadły rzemiosła polskie, zaginęły przywileje i dostojeństwo cechów, niemniej obowiązek służenia ojczyźnie młotem, szysłem czy heblem jest dziś równie ważny, jak był nim kiedykolwiek. Zrozumieli to ludzie dobrej woli i powiedziawszy sobie „trzeba wspólnymi siłami radzić wspólnej biedzie” zwołali na zjazd do Warszawy rzemieślników cechu szewckiego z całego Królestwa.

Zjechała się licznie brać dzielnych majstrów, rozumiejąc, że przez wytworzenie łączności między ludźmi jednego rodzaju pracy, praca ta stanie się lepszą i owocniejszą. Radzono, cieszone serca zniechęconych ciężkimi warunkami rzemieślników z prowincyi, aż uradzono wiele mądrych postanowień. Nad wykonaniem tych postanowień czuwać będą wybrani ku temu ludzie zaufania i da Bóg, kiedy nadejdzie przyszły zjazd szewców w 1915 roku, cech tego rzemiosła wykaże, że nie próżnemi były zamierzenia dzisiejsze, że po wszystkich miastach

i miasteczkach polskich, korzystniej i sumiennie pracować zaczęto. A zjazd szewców to dopiero wstępna karta w nowej księdze lepszych urządzeń cechowych. Nie pierwszy to raz w Polsce od szewców właśnie szło hasło poprawy, pójdą za nim, wszak prawda piskłęta, że w to wierzyć, pójdą inne rzemiosła i da Bóg, chociaż ja pewnie tego nie doczekam, ożyje w warsztatach poczucie rzemieślniczego honoru, ożyją cnoty obywatelskie, bo bez cnót nie ostoi się żadne zamierzenie, bez nich nie marzyć o poprawie bytu braci pracowników.

Niech kochany *Polek Skolarczyk* przeczyta uważnie to co napisałam, znajdzie w powyższych słowach odpowiedź na dawny swój list. Nie wstydić się rzemiosła, bo taki wstyd dowodzi głupoty i małoduszności, więc hańbi człowieka, nieść owszem należy wysoko sztandar cechowego znaku pamiętając, że kto ojczyznę swą kocha i sumiennie pracuje, ten tej ojczyźnie pracą swą lepsze i trwalsze buduje fundamenty.

Kochana *Halka z Teterowa*, jakież to dawne, a jakie wierne piskłę! Odbyła studia w Paryżu i jest teraz nauczycielką w szkole polskiej. Szczęść Boże Halko, na tę zaszczytną pracę, ucieszają się twoje znajome z Wieczorów, spotykając w skrzynce nazwisko dobrze zasłużonej towarzyszk.

Powiatki twoje, *Anhelli*, odesłałam redakcyi, gdyż wedle mnie należy się im zaszczyt wydrukowania w dziale „Sami sobie”. Ale Jaskółka nie decyduje o tych sprawach, wnosi przed autorytet redakcyi wnioski, ale czyni to ostrożnie, bo nuż przytną jej dzioba za zuchwalstwo, albo gorzej jeszcze przymówią coś o przysłowiowej ptasiej głowie. Byłby despekt dla starego ptaka prawda *Anhelli*?

Narzekasz, *Uziku*, na brak wiadomości ode mnie a czemu sama tak dawno nie pisałaś? Widoczek ładnie wymalowany, życzę ci takiego cichego dworku w cieniu drzew, bo pewnie, wedle własnych twoich słów „spływałyby wtedy błogosławione chwile natchnienia” na kochanego *Uzika*. Wiadomość o otrzymaniu nagrody ucieszyła mnie bardzo, co zaś do ciastek to boję się bardzo, czy młoda kucharka nie zachoruje po ich zjedzeniu.

Zawstydziłeś mnie, *Mały Stasiu*, starannym i ciekawym planem aeroplanu. Ptak znać się przecież powinien na skrzydlatym przyrządzie, tymczasem wasza Jaskółka podziwia tylko twój pomysł, ale nie umie ocenić jego wartości. Zato pokaże rysunek jakiemu inżynierowi, może on powie o nim swoje zdanie a ja ci je powtórzę skwapliwie, bo boleję szczerze nad twem osamotnieniem i proszę Boga gorąco o siły dla biednego piskłęcia, które odważnie zrywa się do lotu.

Żyje wśród łanów sandomierskiej pszenicy dwoje kochanych piskląt *Krysia* i *Adamek*, a tak się zasztyli w złote kłosa, że ani zgadnąć co porabiają i co myślą. Huknęłabym do was od morza, po przez jary hop! hop! ale czy odhukniec

waszej *Jaskółce*?



# STANISŁAW SZALAY

APARATY FOTOGRAFICZNE  
LATARNIE CZARNOKSIĘSKIE

PRZEZROCZA

WARSZAWA CHMIELNA 40.

12. 110 8.

## ZAKŁADY GRAFICZNE

# B. WIERZBICKI i S-KA

WARSZAWA, CHMIELNA 61.

46-73 TELEFONY 92-30.

KLISZE DO DRUKU JEDNO  
I WIELOBARWNE.

DRUK TRÓJBARWNY.

DRUKARNIA ARTYSTYCZNA.

CHROMO I FOTOLITOGRAFIA.

ŚWIATŁODRUKARNIA.

KILOMETRO-FOTOGRAFIA.

RYSOWNIA.

TREŚĆ № 34 Zaginiony świat, przez Conan Doyle (z 2 ryc.) — Sposoby przenoszenia się z miejsca na miejsce, przez W. U. — Przeptywyw głębiny, przez Władysława Karoliego. — Galeria Drezdeńska, przez Janinę Porazińską (z 2 ryc.) Gościnność dawnych Polaków, przez Helenę Bojarską. — Z Tripolitanii. — Prastary Piastów gród, przez A. Jachondowicza (z 2 ryc.). — Skrzynka do listów.

DZIAŁ DLA DZIECI. Macedonia, przez M. G. (z 3 ryc.). — Wicus i Julek, przez Świerszcza. — O zmyślności kota, przez M. G. (z 1 ryc.). — Żarciki. — Zadania i łamigłówki.

### ŻĄDAMY ZAPALEK KRAJOWYCH.

O piękna Pani! „Ziarno do ziarnka”  
Głosi przypowieść ludowa...

Wydaj więc rozkaz, by Twa kucharka  
Brała Zapalki z Mszczonowa.

El. (K. Laskowski).

Pierwszorządny

## ZAKŁAD FOTOGRAFICZNY

# J. Malarski & K. Tavrell

w Warszawie

Nowy Świat 57, telef. 224-20.

Wykonywa wszelkie roboty w zakres fotografii wchodzące w zakładzie jak również za obrębem tegoż.

Dla prenumeratorów Wieczorów Rodz.

### RABAT

WAŻNE

Od tuzina kart pocztowych 10%  
Od tuzina fotografii wizytowych 15%  
Od tuzina fotografii gabinetowych 20%  
Od portretów, grup i albumów 25%

WAŻNE

### Rozwiązanie Szarady z Nr. 32.

które mylnie było podane w Nr. 33.

Wszystko „Buraczek” to wiece,  
A „bura” pierwsza i druga;  
Gdy K literę da trzecie,  
Od kar popłynie łez struga...  
I kub z pomocą tej głoski  
Znajdziemy z pierwszą wspak snadnie,

A młody buczek bez troski  
Tuż z pierwszej trzeciej wypadnie...  
Za trudną jest ta szarada;  
Niełatwo zgadniesz ją wszędzie  
Tak wiele czasu odkrada,  
Że więcej takich nie będzie.

### SZARADA.

Ul. Emilia Rychter.

„Chcesz, mój ojczuniu, z kart ci  
[wywróże,

Przyszłości tajne zamiary;  
Mam w tym kierunku zdolności duże,  
Wróżbita, rzekł mi to stary“...

„Jeżeli trzecie taki uczony,  
Rzekł drugi drugi do syna,  
To zgadnij: Wszystko ojczyste strony  
I górskich szczytów dal sina...

Za nic mam twoje pierwsze i trzecie;  
Z nich bo korzyści niewiele;  
Czyż człowiek poto żyje na świecie,  
By sięgać w błachych wróżb cele?...

Pomimo pierwsze od ojca, matki,  
Serdecznych przestróg tak wielu,  
Widzę w twym sercu złego zadatki,  
Trawienie czasu bez celu...

Strzeż się, zepsucia pierwszy wspak  
[toczy

Próżniaczej duszy głębiny,  
A ja, nim zamknę na wieki oczy,  
Chcę, byś dał światu swe... czyni!

### ROZMAITOŚCI.

#### Postęp radiotelegrafii.

Przed paru tygodniami oddano do użytku publicznego nową stację telegrafu bez drutu w Bergen (zachodnia Norwegia). Jestto najmniejsza i najdłuższa stacja w Europie. Działalność jej sięga aż do przyładka północnego i przez całe morze Północne, aż do Islandyi i oceanu Atlantycznego.

### WARUNKI PRENUMERATY:

„WIECZORY RODZINNE“ kosztują w Warszawie: Rocznie rb. 4. Półrocznie rb. 2. Kwartalnie rb. 1. Za odnośnienie dopłaca się 10 kop. kwartalnie.

Z przesyłką pocztową w granicach państwa: Rocznie rb. 5, półrocznie rb. 2 kop. 50, kwartalnie rb. 1 kop. 25.

Za granicą: w Austrii 14 koron, z dodatkami 21 koron rocznie.

„ w Niemczech 12 marek, z dodatkami 19 marek rocznie.

Za oprawę dodatków bezpłat. książkow. dopłaca się 2 rb. 40 k. rocznie, t. j. po 20 k. od tomu. Na przesyłkę podarunków należy dołączać kop. 40 w stosunku rocznym.

### Warunki ogłoszeń:

2 i 3 strona wiersz 1 szpalta kop. 20  
w tekście nadesłane „ „ „ 50

Adres redakcyi i administracyi:

Redaktor: Władysław Umiński.

Warszawa, Krak. Przedm. 69. Telefon 194-06. Wydawcy: Tow. Wydawnicze „Świt“.





P. THUMANN.

SZTUKA ZNIEWAŁA.